Rozmaitości

DNIA 13. GRUDNIA Ner 50. 1834 ROKU.

## KOPERNIK W BONONII.

WOLNE OPOWIADANIE PODŁUG NIEMIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Dzieje literatury wszystkich narodów zachowały nam pamiątkę, że początkiem teatralnych widowisk były wystawiane przez mnichów, bądź po klasztorach, bądź po rynkach, dyjalogi w czasie obchodu pewnych świąt kościelnych, których treść wyjęta była z dziejów ludu izraelskiego, lub z nowego zakonu. Wystawienia te wzięły swój początek w Hiszpanii, zkąd przeszły do Włoch, Niemiec i innych narodów kształcącej się podówczas Europy. W klasztorach, jak w kolebce takich widowisk, nagromadzone były potrzebne do ich wystawy sprzęty. Krewne mistrza naszego niewiasty wypożyczyły sobie od jednego klasztoru potrzebnych do zamierzonego przedstawienia sprzętów i ubiorów. Po wyprawionym widowisku kazały Józefowi, słudze naszego mistrza, odnieść je, zkąd były wzięte.

Sługa ten, niosąc teatralne rupiecie i ubiory, wstąpił po drodze do szynku, gdzie zastał zwyczajne grono podchmielonych już winem swoich towarzyszy. »Witaj nam, kochany Józiu!« ozwał się uprzejmy i usłużny szynkarz, równający się otyłością ciała z dobrym piecem polskim. »Nie nazywaj mię Józiem, ale po prostu Józefem, nie lubię takich pieszczotliwych nazwisk; wszakżem nie raz wam mówił, żem na chrzcie otrzymał troje imion: Piotr, Jan, Józef, i że jestem rodem z pysznego Malborga, słynnego z najcnotliwszych dziewic i najpiękniejszych chłopców.« — »Ha, ha, widać to po tobie,« odrzekł gospodarz, powiódłszy litościwym i szydnym wzrokiem po karłowatym wzroście i czworo-graniastéj, od ospy zeszpeconéj twarzy Józefa; »więc Józiu, czyli Pietrze, Janie, Józefie z Malborga, co teżto Waszmość robiłeś z témto pstrokatém odzieniem? Może też graliście jaką komedyję?« — »Co,« rzekł zżymając się pan Józef, »komedyję! czy myślicie, że Pan Mistrz w takich fraszkach sobie podoba? oho! my mamy smak lepszy i wyprawniéjszy; wyprawiliśmy dzisiaj trajedyję *astrologiczno-telluryczno-astraliczną!*« Kilkunastu z obecnych tam gości wytrzyszczyło w zadziwieniu oczy, inni pytali się ciekawie co to znaczy, a Piotr, Jan, Józef z Malborga, przybrawszy poważną minę, położył na zamknięte usta palce, na znak, że milczéć powinien, i powiódł maleńkiemi swémi oczyma chytrze po wszystkich obecnych, a po chwili w te ozwał się słowa: »Sekret, wielka tajemnica, nie mogę, nie wolno mi nic mówić; tylko tyle wam powiém, aby waszę grubą niewiadomość w tych rzeczach trochę oświécić, że w naszéj trajedyi okazaliśmy, iż się ziemia, jak kula, kręci i że się zawsze od początku świata kręciła.« — »Oho! panie Pietrze, Janie, Józefie z Malborga,« krzyknął gospodarz; »jakto, ziemia się kręci?« — »Nie inaczéj,« odrzekł Malborczyk; »ziemia, to stare pruchnisko, na którém my tak mocno i wygodnie siedzimy, chodzimy i spimy, kręci się, i to z nami, około słońca.«

»Objaśniéj nam to, Józefie!« zawołał barczysty kowal z miną groźną; »nie myślę, żebyś sobie z nas żartował; powiedz, co ma znaczyć to kręcenie się ziemi?« — »Teraz uważajcie, wy prostaki!« zabrał sługa głos z miną najpoważniéjszą, na jaką się tylko przy małym wzroście swoim i szerokiéj twarzy

mógł zdobyć. »Uważajcie: Przypuśćmy, że się ktoś wzniósł w powietrze, aby z góry patrzał na Rzym, jak codzień robią żórawie, bociany, jaskółki i inne nierozumne włóczęgne ptaki, nie odnosząc żadnéj z włóczęgi swojej korzyści, i że mu się udało wisieć w powietrzu przez kilka godzin i uważać pilnie miasto Rzym z jego kościołami, pałacami i ogrodami; toby z zadziwieniem spostrzegł, że się wieże z pod niego wysuwają, a nawet, że na koniec całe miasto jak cień znika mu z oczu, a natomiast podsuwają się pod niego inne miasta, rzeki, morze i lasy: co wtenczas byłoby zabawnie oglądać. Lecz jeżelibyto był człowiek glupi jak gawron, i nie miał najmniejszego o astronomii wyobrażenia, toby tak, jak owe w powietrzu wojażujące ptaki, nie postrzegł, co się pod nim dzieje, i wszystko uważałby za złudę i kłamstwo. Ale mędrzec z tych zjawisk wnioskuje, że się ziemia ze wszystkiém, co na niéj, kręci. Lecz wy, sławetny panie majstrze! dla czegoż pięściami tak machacie? Czy myśli ie, że to wam do twarzy?« — »Zdaje mi się,« odpowiedział kowal, »że sobie z nas żartujesz. Ziemia miałaby się kręcić? Patrzajcie no na moję dłoń: kiedy ją do góry trzymam, leży na niéj jabłko; jak ją w dół obrócę, jabłko upadnie. Jakimżeto dzieje się sposobem, że nikt z nas z ziemi nie spadł?« Obecni wytrzyszczyli po téj uwadze oczy na Józefa z wyrazem, jakby go chcieli zdekoncertować; lecz Józef z dumą uczonego zawołał: »Ej! ej! panie majster, przecież zawsze mieliście rozum; nie możecież sobie sami tego wytłumaczyć? Jakże się to dzieje, że każdéj nocy znika po kilku ludzi i wiele rzeczy, tak, że trudno pojąć, gdzie się podziały? Dla czegoż policyja podwaja każdéj nocy straże na ulicach, a przecież jeszcze przeszłego tygodnia zniknęło z więzienia sześciu rozbójników? Otóż macie, rzecz jasna: Zlecieli na dół, gdy się ziemia obracała, co mi wcale nie dziwno, gdy zważę, z jaką chyżością się obraca. Wszakże wiecie dobrze, że w tym obrocie tak silne powstają wiatry, że dachy z domów, a kapelusze z głów ludziom zrywają.« — »Prawda,« zawołał gospodarz, »ja mogę to zaświadczyć. Na Ś. Krzysztof zawalił mi wiatr pół stodoły, reszta tylko cudem ocalała.« — »A widzicie więc,« mówił daléj Józef, »to znowu był tak chyży zawrót ziemi, który ją czasem napada, jak starą płochą niewiastę, która, chcąc udawać młodą i żwawą, puści się w taniec, a potém tak się zachwieje, że aż strach patrzéć, jak się spodnica zakręci i włosy roztrzepią.« — »Ej, niech ją licho porwie, tę starą babę,« zawołał jeden krawiec, po którego rumieńcach widać było, ile wina wychylił i jak dalece mu wierzyć można; »tak, tak, i ja to czuję; szanowny cudzoziemiec ma zupełnie słuszność, ja ledwo z ławki nie zlecę; któżby się był po niéj takich figlów spodziewał!« Obadwa jego sąsiedzi potakiwali mu; tylko brzuchaty gospodarz zawołał: »Ej, co wy nam chcecie wyperswadować, panie Malborczyku; przecież mam już szósty krzyżyk, a jednak nic o tém wszystkiém nie słyszałem.« — »Bo też wy wcale nic nie słyszycie, co się dokoła was dzieje,« odpowiedział Józef, »wy tu żyjecie jak w ciemnicy; lecz przyjdźcie jeno do nas, a dziesięć razy uszu nastawicie, i przecie nie usłyszycie wszystkiego tego, co przedniego i nowego codzień zdarza się u nas na ulicy.« — »To też to ztamtąd przyszło do nas i kacerstwo« rzekł z westchnieniem chudy i wybladły człowiek, który w kącie izby siedział. Na te złowieszcze słowa wszyscy się, oprócz Józefa, przeżegnali. »Boście wy ciemni; u was każde nowe odkrycie w nauce i sztuce jest kacerstwem.« Ów wybladły i wychudły odszedł wnet, zmierzywszy mówiącego bystrym i groźnym wzrokiem. Brzuchaty gospodarz zmieszał się. »Cóżeście uczynili?« szepnął w ucho Józefowi; »nie wiecież, że u nas takich rzeczy nawet żartem mówić nie wolno. Przyjacielu, pomyślno, że ty i twój pan już zaczynacie zwracać na siebie w mieście podejrzliwą uwagę. Strzeżcie się!« Józef chciał właśnie na tę szczérą przestrogę coś odpowiedzieć, lecz w tym weszła osoba i zwróciła na siebie jego i innych obecnych uwagę. Osoba ta była ubogo odziana, na twarzy, nie tak wiekiem, jak długiem na tym świecie cierpieniem pomarszczona i wynędzniała, zgoła do niepoznania zmieniona; postawą ciała, w czérstwém niegdyś zdrowiu i wieku rzeska, teraz zwiędła i pochylona, na jednę stronę nawet skurczona; wzrokiem, błędnie do koła siebie powodzonym, zupełne obłąkanie

umysłu wydająca. Chwiejąc się, ledwo doszła do stołka na ustroniu, który gospodarz jéj pokazał. »Patrzaj, kochany panie Józefie,« szepnął mu z cicha w ucho, »oto jest żywy świadek tego, com wam powiedział; ten oto człowiek, teraz jak cień się chwiejący, i na ulicy po ciemku tylko mogący się pokazywać, którego oblicze i całe ciało napiętnowane są okropném cierpieniem, był jeszcze przed kilką laty czérstwym i rześkim, a dla przyjemnego w obcowaniu obchodzenia się i dla swéj nauki wielce poszukiwanym; a jednéj nocy — mówię ci, panie Józefie, jednéj tylko nocy—zeszedł na kalékę, z mędrzca na błazna. I u niego świéciła, jak u Kopernika, długo po północy lampa, i on szpérał po starych książkach, i on miał takiego, jak ty — daruj mi, że ci prawdę powiém — karłowatego sługę, i on nie jednę odkrył dziwną, małą rzecz, która się komuś tam czémsiś wielkiém wydawała, a która przecież nam nie przypadła do smaku; teraz obłąkaniec ten wałęsa się i prawi każdemu, kto go chce słuchac, o dziwném swojém odkryciu; a po jego mowie sądząc, zdaje mi się, że jest więcéj jak obłąkanym; że zupełnym jest waryjatem.« Józef, który w téj mowie niczego więcéj nie dostrzegł, jak tylko naigrawanie się drugich z jego wzrostu i postaci, wykrzyknął w gniewie, uderzywszy w piersi gospodarza, że aż się potoczył, z szydnym uśmiechem: »Prawdę mówicie; pan mój z diabłem się para; a tym diabłem jestem ja, który przyszłéj nocy wszystkim wam karki poskręcam; wasze głowy i tak już krzywo siedzą na karkach.« Po tych słowach, na które jedni się rozśmieli, drudzy się skrzywili, odszedł z gniewem karłowaty Józef.

Cztery dni po wspomnionéj wyżéj wystawie teatralnéj, i téj scenie karczemnéj Józefa, siedział znowu mistrz Kopernik do późna w nocy w swojéj izdebce nad książkami. Patrzał właśnie na papiér, na którym skréślonych było mnóstwo kół jeometrycznych, w różnych kierunkach krążących, rozmaicie się w tém krążeniu krzyżujących i przecinających. Zamyślony był nad swoim nowym gwiazd i planet obrotem, i rozmyślał zapewne, którą drogą i jak krętą puścić ma ziemię i jéj drabantów, aby do koła słońca leciały, a wszystko odbywało się tak porządnie, iżby wszystkie pory roku w przyzwoitym nadchodziły czasie, i wszystkie lunacyje księżyca i zaćmienia prorockim przepowiedzieć duchem. W tym wchodzi jeden wybladły domu tego sługa do izdebki goniącego myślami za gwiazdami i planetami naszego Mikołaja Kopernika: »Cóż mi powiesz nowego, i cóż tu tak późno robisz?« zapytał go mistrz. »Panie!« ledwo wybąknął starzec, »na dole czeka na pana sługa książęcia z dwoma innymi ichmościami; mają rozkaz zaprowadzić pana natychmiast do pałacu książęcego.« — »Teraz, śród nocy? Co ci się śni.« — »Panie, nie jestem we śnie; możecie sami obaczyć ludzi, którzy tu na dole czekają, i z nimi pomówić; ledwom ich uprosił, aby się wstrzymali, byliby w całym domu wielkiego narobili hałasu.« — »A no! to podajże mi płaszcz, kapelusz i palicę,« rzekł mistrz, przeszedłszy się kilka razy żywo po izdebce. Sługa podał mu płaszcz, kapelusz i palicę w niemałéj trwodze. »Nie bój się,« rzekł do niego mistrz, i nikogo w domu nie obudzaj; któż wié, czego ode mnie chce książę; może téj nocy, kiedy niebo jasno świéci, chce ze mną uważać gwiazdy. Za pół godziny będę w domu.« Słowa te, z największą flegmą wyrzeczone, nie uspokoiły starego sługi; poszedł za swym panem na dół i przysłuchywał się jego z zakapturzonémi osobami rozmowie, i ujrzał nareszcie, jak owe zakapturzone osoby pana jego z sobą poprowadziły. Stary sługa patrzał w trwodze za tym złowieszczym orszakiem po długiéj, samotnéj, bladém światłem księżyca objaśnionéj ulicy.

Mistrz, który w duszy nie był tak spokojnym, jak się na pozór swemu dawnemu słudze okazał, ochłonął z trwogi, ujrzawszy się w nader przyzwoicie i wygodnie umeblowanym pokoju w pałacu książęcym, do którego był wprowadzony. Położył się spać i zasnął, jak człowiek, któremu na sumieniu nic nie cięży. Po chwili, około świtu, obudzony został skrzypieniem drzwi, które strażnik otworzył, i którémi wpuścił do mistrza ucznia jego Pawła. Paweł, wszedłszy do izby ze strażnikiem więzienia, powitał mistrza swego z układem człowieka, bojącego się, aby się z czém nie wydał. Mistrz, nie chcąc obecnemu oficérowi najmniejszego dać podejrzenia, że między nim a uczniem jego

jest coś tajemnego, rzekł szczérze i otwarcie z czołem wypogodzoném do swego ucznia, aby mu wszystko bez ogródki powiedział. »Mocno się o ciebie boimy, kochany mistrzu,« odrzekł młodzieniec, »nie wiedząc dla czego cię tu zaprowadzono. Osobliwie krewne twoje bardzo są tém zasmucone. Chcą one prosić J. Ks. Mość o posłuchanie, aby, upadłszy mu do nóg, wybłagać twoje uwolnienie, jeżeli na to przystaniesz.« Kopernik kiwnął głową i rzekł, że sam nic złego nie widzi w swojém położeniu, i wszystkiego dobrego oczekuje od przyszłości; ponieważ wcale nie jest sobie świadomy winy, a zatém niech się i w domu uspokoją. Stosownie do tego dał jeszcze niektóre rozporządzenia, kazał pozdrowić serdecznie panie i starego Jakóba, i podał uczniowi, który wciąż jeszcze z łez się ociérał, rękę. Na imię Jakób mrugnął młodzieniec oczyma, tak że oficér tego nie dostrzegł, wyjął małą książeczkę i dał ją mistrzowi, mówiąc: »To posyła wam profesor, abyście się w téj samotności rozrywali.« Byłto Pindar, ulubiony naszego mistrza poeta. Oficér zbliżył się i prosił bardzo grzecznie o pokazanie sobie książki, zajrzał do niéj i rzekł spokojnie: »To są łacińskie paciérze, możecie je sobie czytać.« Gdy Paweł i oficér odeszli, przejrzał Kopernik książkę i znalazł w niéj w rzeczy samej, jak się spodziewał, papiér, na którym ręką Jakóba napisane były te słowa: »Drogi przyjacielu, jesteśmy »o ciebie w rozpaczy. Jesteś zdradzony, »haniebnie zdradzony! Twoi nieprzyjaciele »w Padwie znaleźli środek wystawienia wiel»kiego odkrycia twego inkwizytorom w Bo»nonii za wyklęte kacerstwo; cały klasztor »jest przeciw tobie. Przybycie księcia, który »cię zna i szacuje, jest dla nas wszystkich »jedyną pociechą; jeżeli cię przypuści, to »będzie jedynym ratunkiem, abyś wszystko »oświadczył za kłamstwo i obłudę, i wszelkie »twierdzenie publicznie odwołał. Wielkie »twoje odkrycie nie może na tym ciérpieć, a »gdy kraj ten opuścisz, będziesz mógł wol»niéj działać.« — »Nie, szlachetny lecz lękliwy przyjacielu!« zawołał Kopernik, list składając, »nie wyprę się mojéj zasługi, która, lubo mało znacząca, jest przecież owocem szczéréj woli, ciągłych i długich prac moich; i jażbym miał, z płochéj bojaźni, zniszczyć ją? nie, mój Battista! i uczony powinien mieć coś bohatérskiéj odwagi. Jeźli go nieprzyjaźna tłuszcza wyzwie, powinien jéj stawić otwarcie męzkie czoło. Rzecz dziwna!« mówił daléj, przechadzając się po pokoju w myślach zatopiony, »prożby przyjaciół moich nic na mnie nie wymogły, lecz zawistni przymuszą mię do wyznania.«

W godzinę potém znowu wszedł oficér, i kazał uczonemu udać się za sobą do pałacu książęcego. Poszedł natychmiast, i pokrzepiwszy umysł odwagą, wszedł do sali, w któréj środku stał stół z papiérami, przy którym siedziało dwóch pisarzy. Uczony, pozdrowiwszy ich z uszanowaniem, dowiedział się, że się znajduje w tajemnéj kancelaryi książęcéj, i że Robert, tajny sekretarz, zaraz przybędzie. Kopernik znał tego człowieka za głowę ograniczoną, a przytém chytrą; niespokojnie więc rzucił okiem na wchodzące właśnie osoby, lecz się dosyć uspokoił, gdy ujrzał wchodzącego z owym Robertem młodego Wincentego Bersonneta. Tego kochania godnego i roztropnego młodzieńca znał dobrze; był bowiem przez kilka miesięcy jego nauczycielem i kierował uczonémi jego pracami, które się do tego samego, co i Kopernika, celu ściągały; lecz teraz, zostawszy nauczycielem jednego z młodych książąt, rzadko tylko wychodził z pałacu. Kilku innych panów, z których jeden okrągłego chytrego oblicza, równie weszło i stanęło we drzwi, tak, że ich można było za dworzan uważać. Sekretarz Robert, poskładawszy niektóre papiéry, i przemówiwszy kilka słów do pisarzy, prosił łaskawém skinieniem uczonego, aby bliżéj przystąpił. Gdy się to stało, zapytał się chrapliwym głosem: »Jak się pan nazywasz, kto był twoim ojcem, i gdzieś się urodził?« — »Mikołaj Kopernik, szanowny panie,« była odpowiedź, »ojciec mój był poczciwym mieszczaninem w Toruniu, i w tém mieście ujrzałem światło.« — »Hm! dla czegożeś opuścił swoję ojczyznę i tu przybył?« — »Sława uczonych włoskich, a osobliwie uczonych w Bononii były mi do téj podróży powodem.« Robert ciężko się poruszył w krześle: Dałby Bóg, abyś drugi raz w domu siedział; mruknął sobie pod nosem, i obróciwszy się do pisarzy, rzekł: »Teraz uważajcie, co będę pytał: Rozgłosiło

się, Mikołaju Koperniku, żeś podczas swojego tu pobytu wiele czynił badań i odkrył tajemnicę natury, o której nikt ani pomyślał... czy prawda to?« Obadwa panowie przy drzwiach mówili, śmiejąc się, z sobą i coś sobie szeptali; Robert rzucił na nich groźnym wzrokiem, i nakazał milczenie. »Tak jest,« odpowiedział uczony głosem radośnym, »prawda, szanowny panie. Znajdujeć się wprawdzie w dziełach starożytnych nie jedno miejsce, zdające się dowodzić, że miano już ciemną o tém wiadomość; mogę wszakże powiedzieć, że za pomocą moich przyjaciół wcale nowe zrobiłem odkrycie.« — »A jakież?« zapytał tłusty sekretarz po chwili. Stojący przy drzwiach znowu się, szeptając, poruszyli; Bersonnet za poręczą krzesła wzniósł się na palce, a gdy uczony właśnie rozmyślał, że od najpiérwszych słów, które z ust jego wyjdą, zawisło szczęście lub nieszczęście przyszłego losu jego, otworzyły się podwoje i głowa ruda z długim nosem orlim i dwoma bladémi oczami w twarzy zajrzała do sali, i rzuciła wzrok z wyrazem uśmiéchu i ciekawości na uczonego. Ten, skoro poznał książęcia, chciał w pomieszaniu pójść go pozdrowić, lecz Robert skinął, aby tego nie czynił, a głowa, nadsłuchując, stanęła w otworze podwojów. W ciszy, która nastąpiła kiedy mistrz wzrok ku ziemi spuścił, słychać było w gabinecie słowa: »Co też powié, co usłyszymy?« — »Nie odpowiadasz!« zawołał sekretarz i schylony oparł się o stół. »Szanowny panie,« rzekł uczony, »bardzo dobrze sami to wiécie, że w krainie umiejętności nie jedno się wydarzyć może, co w oczach prostych ludzi wydaje się błahém i nie zasługującém na uwagę; to samo dzieje się i z mojém odkryciem; dla mnie jest ono kosztowną perłą, a przecież światu możeby się prostym tylko wydała kamykiem. Pomyślcie jeno, że ja mam do czynienia tylko z témi małémi światełkami tam w górze, a sami przyznacie, że takie bawidło jest wcale niewinne.« — »Ale wy unikacie wyjawienia tego, czego ja właściwie żądam,« zawołał sekretarz, »nie wdawajcie się w rzeczy potoczne, wymieńcie nam raczej teraz swoje odkrycie.« Głowa między drzwiami, która była na kilka chwil zniknęła, znowu się pokazała, a dworzanie się rozstąpili. »Odkryłem nowego płanetę,« rzekł nareszcie uczony z ociąganiem się. »Tak?« zawołał sekretarz, »a jakże się nazywa?« — »Jest wam bardzo dobrze znany, szanowny panie.« Bersonnet za krzesłem wziął wtém ze stojącego na oknie wazona szczyptę ziemi w palce i, stanąwszy za krzesłem, puścił ją z tak wysoka, że część na papiér przed sekretarza padła. Kopernik musiał się uśmiéchnąć, lecz sekretarz skrzętnie czarny proch zdmuchnął i zawołał gniewliwie: »Jabym miał go znać? Mylisz się, mistrzu, jakbym miał znać rzecz, która może sto tysięcy mil nad moją głową krąży i tam świéci; wiédźcie, że ja nie przepędzam nocy na tak błahych zabawach, jak wy. Jeszcze raz pytam, jak się nazywa?« Uczony odpowiedział wesołym uśmiéchem: »Szanowny panie, będziecież przecie znali swój pokój, w którym dzienne sprawy odbywacie, swoje łóżko, na którém sypiacie?« — »Zapewne, lecz do czegoż to?« — »A więc i mojego płanetę znacie; wierzcie mi, że do niego ztąd nie daléj, jak z tego okna do ogrodu książęcego.« — »Przebóg!« zawołał sekretarz, »mnie się zdaje, że pan się ośmielasz w obecnych szanownych panów stroić sobie ze mnie żarty.« Tu dał się słyszeć mocny śmiéch w gabinecie. Sekretarz wstał z westchnieniem, otarł sobie pot z czoła i przeszedł się niespokojnie po sali; potém wyprawił z jakiémiś rozkazami służącego. »Obaczymy,« rzekł z miną kwaśną; »jeżeli wy nie chcecie wyznać, to potrafimy łatwiéj waszemu słudze rozwiązać język.« W tém Kopernik, ułyszawszy koło drzwi stąpanie, obejrzał się i ujrzał z podziwieniem wchodzącego pod strażą do sali swego biednego sługę, z twarzą bladą i z przestrachu skrzywioną. Sługa, wchodząc, ledwo śmiał rzucić wzrokiem na swego pana. »Teraz wyznaj, stary gaduło!« rzekł sekretarz do wchodzącego, »coś nie dawno przed świadkami opowiadał o tajemnicach swego pana. Nie taj niczego, nie przekręcaj ani słowa, boby ci to na złe wyjść mogło.« — »Wielce szanowni panowie,« zaczął biédak po krótkiej chwili, w której to na swego pana, to na siedzących koło stołu poglądał, »ja mam wyznać? miły Boże, wszak tu stoi ten, któremu jedynie w rzeczach uczonych odpowiedź należy. Dobrzeście mię nazwali, tak jest, ja jestem

stary gaduła; człowiek, który pomimo siwą brodę swoję jeszcze z dziecinnego nie wyszedł wieku, który nie wié, co plecie, i którego słowom raz na zawsze wiary dać nie można.« Przeklęte plemię! mruknął sobie sekretarz; wolałbym raczéj całą Bononiję rozwalić i znowu wybudować, jak tu jeszcze jednę dręczyć się godzinę. »To przeczytaj mu, pisarzu, grzéchy jego.« Pisarz wziął papiér w rękę i czytał głosem jednostajnym co następuje: »*Giuseppe Bartelli*,« — »ale nie *Giuseppe Bartelli*, lecz po prostu Józef Bartel,« odezwał się sługa. »Milcz!« zawołał sekretarz, a pisarz daléj: »wyznaje, że w domu »jego pana w Bononii wyprawiono kacérską »komedyją, w któréj występowały osoby Ojca »Swiętego i Apostołów w sukniach kobiécych; »powtóre, że pan jego wynalazł czary, któremi przymusić chce słońce, aby stało; po »trzecie, że z pod straży w Bononii w nocy »nikną złoczyńce; po czwarte... — »Dosyć!« zawołał sekretarz, »odpowiédz najprzód na te obwinienia, ty bezbożniku! jak się z tego oczyścisz?« Józef, pokłoniwszy się swemu panu, rzekł: »Darujcie mi, panie miłościwy, że w przytomności waszéj będę o uczonych rzeczach mówił; lecz widzicie, że ci uczeni i szanowni panowie przymuszają mię, abym zrzucił z siebie suknie chrześcijańskiéj pokory i okazał się w moim pierwotnym blasku. Tak jest, szanowni panowie, a nie inaczéj, widzicie w mojéj osobie tego wielkiego, oświéconego męża, który wyprzedził wiek swój i którego, jak wszystko nadzwyczajne i wyborne, teraz z zaciętością prześladują. Muszę odkryć tajemnicę. Ale wy, mistrzu, jakkolwiek was wielce poważam, jakkolwiek nieraz wam przyrzekałem, że wam tę sławę zostawię przed światem, teraz widzicie, że ugoda nasza zerwać się musi, ponieważem się już raz wygadał.« — »Do rzeczy,« zawołał sekretarz, »do rzeczy!« — »Oto,« mówił Józef daléj, »nie raz zdaje się nawet bardzo rozumnym ludziom, że coś więcéj znaczą, niżeli czém są istotnie; sługa chce być panem, prosty żołnierz kapitanem, prosty nieuk chciałby być uczonym; jeżeli się im uda, mogą sobie przywłaszczyć zaszczyt i sławę, lecz tylko tak długo, póki prawdziwy znawca nie wystąpi i pospólstwu oczu nie otworzy. W takim przypadku kłamliwego urojenia znajdują się nie tylko myślące wszelkiego rodzaju istoty, lecz także tak zwane nieżyjące stworzenia, po którychby się takiej chytrości wcale spodziewać nie należało; tak na przykład: To dziwaczne stare pruchnisko, ta bryła z kamieni, kruszców i roślin, na której ojcowie nasi żyli i my żyjemy, ta tak zwana ziemia, lub jak ją inaczej tam zowią, ktoby myślał, że ta, pychą szatańską opętana, potrafiła przez kilka wieków wodzić za nos najuczeńszych ludzi; lecz przyszedł i jej czas, trafiła kosa na kamień, a tym kamieniem ja jestem, jak mnie tu widzicie. Długo i mozolnie rachowałem i mierzyłem, czatowałem na strychu, a gdy dach był podziurawiony, mogłem przez szczeliny i rozpadliny dziwnych dostrzedz rzeczy; mogłem wyraźnie widzieć, jak niektóre gwiazdy się siąkają, inne sobie blizny plastrem zalepiają, inne znowu zbladłe swoje całonocnem niespaniem policzki na czerwono malują; nie raz słyszałem kłótnie i hałasy między temi wielmożnemi paniami, ponieważ jedne wstawały późno, drugie szły powoli podagrycznemi swemi nogami, i nie raz zastępowały drogę innym młodym, które bez trosek tędy i owędy się kręciły. Krótko, szanowni panowie, wstydziłem się często patrzeć na taką zgrozę. Przy téj sposobności odkryłem także i figle naszej ziemi. Nam, siedzącym na jej łonie i, ze względu na delikatność dla niej, oczy na jej słabości zamykającym, nam wyperswadowała, że w przestrzeni niebios najprzedniejsze zajmuje miejsce, a co większa, że słońce i inne planety są jej sługami. Jakżem się zdziwił, gdym jednego razu, podczas moich czatów, właśnie przeciwnie dostrzegł! Zaczaiłem się na nię, kiedy się tego najmniej spodziewała, i dostrzegłem, że i ona w grubéj sukmanie z całym orszakiem reszty pospólstwa około słońca się kręci. Ach! jakże nędznie wtedy wyglądała, jak pokornie wypraszała sobie od słońca to skąpe światło, które na nię spływało; lecz skoro je otrzymała, natychmiast świetnie i jasno się przybrała, i udawała dumną panię, póki skąpego daru tego nie roztrwoniła i znowu żebrać musiała. Lecz to czyni zawsze w nocy, kiedy wszystkie jej dzieci spać pójdą, aby tego nie widziały. Ale nas uczonych, którzy, na ziemi rozprószeni, siedzimy późno w noc przy swych bladych lampach, czytamy i przemyślamy, nas nie mogła oszukać. Takie jest, szanowni panowie, odkrycie moje, i powtarzam, że moje, a nie czyje inne! Jeżeli zato chcecie dać mi sto tysięcy dublonów, to każcie je wyliczyć mnie, a nikomu innemu; a jeżeli chcecie mię na stos posłać! o! to proszę was, kazać tylko mnie, a nikogo innego spalić.« (Dalszy ciąg nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

W Nr. 40. Rozm. z r. b. była wzmianka o *tunelach* i o przejściach podziemnych czeskich i polskich. Przysłuchując się powieściom, przez starszych podawanym, dowiadujemy się, że niemal każdy zamek u nas miał wyjście podziemne, które w grożącém niebezpieczeństwie ułatwiało mieszkańcom ucieczkę, z zamku obleżeniem zamkniętego. Pomnę lat temu dziesiątek pokazywano nam studentom w środku ruderów klasztoru oo. bernardynów w mieście Tarnowie otwór w ziemię spuszczającego się kanału, i mniemanie było u ludu powszechne, iż kanał ten ciągnął się pod ziemią na ćwierć mili i dochodził do zamku, którego szczątki sterczą jeszcze na tak zwanéj górze Marcina. Dziś ani śladu dojrzeć kanału i powieść o nim zamilkła. Rzecz smutna, iż w ostatnich czasiech większa część pozostałych na ziemi naszéj ruderów w proch się rozsypała, zasypując starych powieści i podań ułamki, które, że tak powiem, tuliły się pod mury połamanych grodów naszych. Zamków nie odbudujemy już starych, obyśmy zachowali te, które do naszych doszły czasów; wszakże dałyby się jeszcze zebrać potracone powieści i legendy nasze, ale u kogo znajdzie się po temu ochota?! A. G.

Panu kapitanowi Schenk, podającemu obywatelom kraju naszego sposób łatwy i niekosztowny ubezpieczenia żywémi płotami pól i ogrodów (ob. Rozm. Nr 34 r. b.), wdzięczni być winniśmy, a słowami jego zachęceni z nauki nam podanéj korzystać, a to tym więcéj, iż chlubiących się postępem w gospodarstwie i smaku upiększania siedlisk wiejskich, przeszłość zawstydzić może. Czytałem albowiem w książce, w zeszłym wieku wydanéj, (Geografija albo Opisanie Królestw Galicyi i Lodomeryi. Przemyśl r. 1786), iż w Lewniowéj, wsi domu Bartoszewskich, w obwodzie Bocheńskim leżącéj, zamiast płotów cała wieś pięknemi, strzyżonemi, z grabiny i głogu ogrodzona była szpalerami. — W téjże dziełku jest wzmianka o Lubyczy, miasteczku w obwodzie Żółkiewskim leżącem, które niedawno ogniem spłonęło, iż mieszczanie obywatele tegoż za czasów dawniejszych nazywali się kniaziami Lubyckimi, nie będąc szlachta. R. 1766 na sejmie miała być obrócona ta Lubycza na dobra kasztelanii bełzkiéj, a gdy rozliczne swe przywileje od książąt Bełzkich i Mazowieckich okazali na wolność zupełną, zostawiono ich przy dawnych prawach, a byli bardzo rozrodzeni i w małżeństwa z obcemi włościany nie wchodzili nigdy. A. G.

Dnia 21. listopada r. b. umarł w Brodach Karol Stahlberger, doktor medycyny i dyrektor tamtejszéj szkoły realnej. Urodził się r. 1787 w Górnéj Austryi, i jest autorem rozprawy: »O reagencyjach.« R. 1819 został profesorem, a późniéj dyrektorem szkoły realnéj w Brodach. Pilny i gorliwy w powołaniu swojém, czas wolny od zatrudnień poświęcał pracom literackim i oprócz sprawowania dyrektoratu, dawał jeszcze odczyty o dziejach, jeografii, fizyce, historyi naturalnéj i o umiejętnościach handlowych. Jemu winna brodzka szkoła realna sławę, jaką ma w kraju i za granicą. uczniowie tego zakładu bowiem są profesorami w Nowym-Jorku i w Zurich, i zawiadują wielu domami hurtownemi w Brodach i w niektórych innych miastach znaczniejszych. Znane są poświęcenia się Stahlbergera podczas cholery w roku 1831, na którą dwa razy zapadał.

Wuk Stefanowicz, także Karadzic zwany, urodził się dnia 7go listopada r. 1787 w Trzyczu, powiecie Jadarskim, na granicy serbsko-bośniackiéj. Jestto najlepszy zbiéracz tyle sławnych pieśni serbskich, które przed nim znane były urywkowo tylko, to z serbskich słowników, to z nader niedokładnego zbioru Andrzeja Kacycha w Wenecyi (1759). Język tych przyjemnych i tchnących szczérotą pieśni, używany od pięciu milijonów ludzi w Horwacyi, Dalmacyi, Sławonii, Serbii, Bośnii i Hercogowinie, nie jest wszakże i dla innych Sławian trudny do zrozumienia. Całkowity zbiór pieśni serbskich wyszedł w 3ch tomach (w Berlinie od r. 1823 — 24). Do zrozumienia tych pieśni służy serbsko-niemiecko-łaciński Słownik autora, wydany w Wiédniu r. 1818 i jego Gramatyka serbska, tamże wydana r. 1814, i przypisana księciu Serbii Miłoszowi Obrenowiczowi w Białogrodzie, który mu wiele do zbiérania pieśni dopomagał. Pod tytułem: *Danitza* (Gwiazda poranna), wydał w Wiédniu r. 1826 Noworocznik serbski.

Staraniem i nakładem księcia Henryka Lubomirskiego, kuratora naukowego zakładu narod. imienia Ossolińskich, wyszły w rozmaitych latach następujące wizerunki: 1) Zbiór widoków celniejszych ogrodów w Polszcze. Zeszytów 11, każdy po cztéry widoki pół-arkuszowe zawierający; litograf. w Wiédniu, poźniéj we Lwowie; rys. Ant. Lange u Pillera. 2) Kopernik, z obrazu robionego przez Basaetego w r. 1512, a znajdującego się w zbiorze Lubomirskich, rysował Scheffer w Wiédniu i tamże litografowany na arkuszu. 3) Izabella z książąt Czartoryskich księżna Lubomirska, marszałkowa w. kor., rytowana na miedzi przez A. Geigera w Wiédniu. 4) Włodzimiérz Potocki, założyciel i pierwszy pułkownik konnéj artyleryi polskiéj; malował Schorn, rysował Decker w Wiedniu i tamże litografowany. 5) Pomnik, wystawiony Kościuszce przez uczniów szkoły wojskowéj w West-Point, w Stanach Zjed. Ameryki północnéj, w ogrodzie zwanym *Kosciuszkos-garden*; J. Nep. Głowacki rysował, litografowano o P. Wyszkowskiego w Krakowie. 6) Orłowski, rysownik, żyjący w Petersburgu; litograf. w Wiédniu. 7) Książę Józef Lubomirski, kasztelan kijowski, jenerał-major wójsk polskich, ojciec księcia Henryka. 8) Izabella z książąt Lubomirskich księżna Sanguszkowa; rysował J. N. Głowacki, z litogr. P. Wyszkowskiego w Krakowie. 9) Roman książę Sanguszko, kapitan wojsk pol.; rysowany w Rzymie, litografowany we Florencyi.

Z Warszawy. Od Nowego Roku 1835 ma tu wychodzić nowe pismo: Magazyn, czyli dziennik mod i przyjemnych wiadomości, oraz drugie pismo nowe: Magazyn przyjemny i pożyteczny dla dobrych dzieci. Spodziewamy się, że wychodzące dotąd: »Magazyn powszechny;« »Podróż malownicza około świata,« i »Gabinet czytania« także w przyszłym roku wychodzić będą. W Nr. 42. »Magazynu powszechnego« znajduje się żywot Ignacego Krasickiego.

Pan Portius z Lipska robi ciągle w Berlinie wielkie wrażenie wynalezionym przez siebie *psychométrem* (miernikiem duszy, o którym roku zeszłego było wspomnienie w piśmie naszém). Ten psychometr jestto machina, która okazuje, czem człowiek jest co do temperamentu, umysłu i serca swojego. Jestto skrzynka długości 12 cali, 11 cali széroka, a 3 wysoka. Piszą, że machina ta ma mieć tak delikatne czucie, że wykrywa najmniejsze odcienia temperamentu. Nie trzeba jéj jednak zbytnie doświadczać, bo ona często boleśnie dotyka, mówiąc prawdę najzupełniejszą, i nie mając względu ani na stan, ani na znaczenie człowieka.

Dziennik niemiecki *Lettenfreund* (Przyjaciel Łotyszów) donosi o następującym wypadku, nie dawno w Rydze zdarzonym: Pewni rodzice zostawili zupełnie zdrowe dziecko samo w kolébce, wróciwszy znaleźli je nieżywem, i przekonali się, że tchórz, zrobiwszy dziecku małą rankę na skroni, wyssał krew z niego. Przy sekcyi pokazało się, że w zmarłém tym sposobem dziecku ani kropli krwi nie było.

——— W Grecyi, na wyspie Syra, zdarzył się w końcu sierpnia r. b. wypadek, należący do najrzadszych. Dziewięcioletni chłopiec, zwany Demetrius Stamillato, uczuł nagle nieznośne boleści w żołądku. Przywołany 17. lipca doktor, pan Ardoin, naprożno dawał rozmaite lekarstwa; dziecko ciągle cierpiało, zostając w tym stanie aż do 3d. sierpnia. Nakoniec tego dnia pan Ardoin dał mu jeszcze mixturę na womity, złożoną z emetyku i oleju zwanego kastorowym *(oleum Ricini)*; wkrótce nastąpiły gwałtowne

momity, trwające dzień cały, i nakoniec, po niesłychanych usiłowaniach, mały Demetrius wyrzucił przez gębę płód ludzki, który dotąd w żołądku nosił. Płód ten, chowany za największą osobliwość, jest takiego kształtu i wielkości, jakie są właściwe płodowi od piérwszych 40 do 50 dni. Głowę i ręce ma wyraźne, nogi jeszcze się nie były rozwinęły, i zamiast nich jest tylko błonkowate przedłużenie brzucha. Doktor starał się temu nadzwyczajnemu zdarzeniu dać jak największą autentyczność, i wezwał za świadków władze miejscowe. Chore dziecko natychmiast uczuło ulgę i zwolna wraca do zdrowia. Jestto dopiéro czwarty w dziejach lekarskich wiadomy przypadek płodu, który się tym sposobem w ciałach ludzkich rozwija. (T. P.)

W kilku latach ostatnich zawiązało się w Neapolu z piętnaście towarzystw ku podniesieniu rozmaitych gałęzi przemysłu. Ich akcyje idą bardzo dobrze. Nie dawno powstało nowe towarzystwo, pod nazwiskiem *Barca del tacoglere di Puglia.* Zamiarem towarzystwa tego jest, ułatwiać włościanom sprowadzanie owiec merynosów, kóz tybetańskich i t. d.

Dziennik *Messager* umieścił następującą wiadomość: »Lubo żaden rozsądny człowiek wierzyć nie będzie, że głośny teraz procesem swoim baron Richemont jest jedną z Ludwikiem XVII. osobą, okoliczność ta jednak nie mało zwraca uwagi. Do niejakiego prawdo-podobieństwa w tym względzie przyczynia się jeszcze anegdota, którą w Paryżu za rzecz pewną opowiadają. Podczas uwięzienia pa. Richemont w St. Pelagie tenże nadybuje przypadkiem dozorcę chorych więźniów, który rany kilku politycznym więźniom zawiązywał. Dozorca, ujrzawszy pana Richemont oświadczył, że go gdzieś piérwéj już znał. »Znałeś mię wćpan,« odrzekł Richemont, »a to w Wersalu, gdy byłeś paziem moim.« Więźniowie rozśmiali się głośno na tę mowę, ale pokazało się poźniéj, że dozorca więzienia był istotnie potomkiem księcia Aiguillon, a przed rewolucyją paziem Delfina (?) «

Pewien kawiarnik w Paryżu kupił namiot, którego Napoleon używał w Egipcie, i rozbił go w swojéj kawiarni. Francuzi licznie odwiedzają tę kawiarnię dla zaszczytu picia kawy pod namiotem wielkiego męża.

W wielu miastach Europy pomniki na cmentarzach wzrastają coraz więcéj w liczbę, wielkość i ozdoby. Cmentarz księdza *la Chaise* w Paryżu zasługuje na piérwszeństwo przed wszystkiemi cmentarzami Europy, tak z powodu wielkiéj objętości swojéj, jak niezwykłéj liczby pomników kamiennych, których ilość przeszło już 30,000 sięga. W środku tego zmarłych spoczynku ma być właśnie wystawiona z marmuru olbrzymia piramida wysokości stóp 200, w któréj grobach te mianowicie osoby chowane będą, które się szczególniéj dla dobra Francyi zasłużyły.

Rzeźbiarz Dawid zrobił model statuy Cuviera, która wystawiona ma być w tegoż ojczystém mieście Montbeillard, we Francyi. Wyobraża tego badacza przyrody w głębokiém zamyśleniu. W jednéj ręce trzyma rylec, w drugiéj papiér, na którym skreślony jest cały *mastodon* (nowo odkryte zwierzę) i onegoż kościotrup. Obok statuy leży szczęka *mastodona*, z któréj Cuvier odgadł budowę tego dotąd nieznajomego źwierzęcia. Artysta chciał wydać przezto jednę epokę z pełnego sławy życia tego wielkiego naturalisty. Głowa ma zupełne podobieństwo, i będzieto pomnik równie godny męża, któremu ma być wzniesiony, jak i artysty.

Nie dawno w Rouen stawiono przed sądem dwie kaczki, jako świadków. Jednę z tych kaczek skradziono i właściciel, odszukawszy ją u sąsiada, przyniósł jéj siostrę dla udowodnienia, że kaczki te znały się, a zatem jego były. Jakoż, obaczywszy się, przybiegły ku sobie i zaczęły kwakać radośnie. Sąd jednak dowodu tego nie uznał za dostateczny.

Pewien mechanik w Londynie wynalazł nowy rodzaj lamp, obiecujący rzadkie korzyści. Skład ich ma mieć wiele podobieństwa do rurki, nie potrzebuje knota, i jak wynalazca zapewnia, wydaje płomień na dwie stopy wysoki (!?) Ciekawi jesteśmy bliższego opisania tego cudu w rodzaju lamp, które w każdym względzie bardzo nam wiele obiecują.

Za przepowiednią ostréj zimy uważają gazety angielskie, że tego roku wcześnie bekasy powróciły.

Pewny dziennik angielski kreśli nam następujący obraz córki lorda Byrona, noszący piętno owéj chęci, jakiéj wielu uczonych hołduje, chcących wszystko mierzyć podług frenologicznego kompasu: Córka lorda Byrona jestto miła dziewica, mająca lat ośmnaście. Jéj skronia pokryte są pięknémi ciemnémi oplotami włosów, jéj ładnie zagięte brwi są doskonałym wzorem dla frenologów; ma wiele podobieństwa do swojego ojca. Organy przychylności, naśladowania i ideału są u niéj w znacznym stopniu rozwinięte; oraz przymioty umysłowe porównania, wyprowadzania skutków i miejscowości. Jéj oko jest przenikające i roztropne, lubo nie nader duże; wzrost jéj przechodzi średnią miarę, jest dobrze zbudowana, pełna w ciele, ma bardzo wązkie usteczka, a głos mowy niezmiernie dźwięczny i łagodny.

Dziwne i zaledwo na wiarę zasługujące są wiadomości o bogactwach, jakiemi dawniéj uposażone były pagody w angielskich Indyjach wschodnich. Historyja pisze, że Mahmud I., zdobywszy zamek Sumenat w Guzurate, kazał, mimo próźb księży, ofiarujących 10 milijonów wykupna, rozbić bożyszcze pagody i znalazł w niem więcéj jak za 100 milijonów dyjamentów, pereł i rubinów. Pagoda Sumenatu była wtedy najsławniéjszą i najbogatszą. Znajdowało się przy niéj blizko 2000 braminów, 500 bajaderek, 300 muzykantów, i 300 golarzy, którzy pobożnym, chcącym wchodzić do świątyni, golili brody. Oprócz tego wielkiego bożyszcza było jeszcze w świątyni kilka tysięcy małych posążków ze złota, a 56 słupów, dźwigających kopułę pagody, były brylantami okryte. Okrom tych skarbów należało jeszcze do świątyni 2000 włości, ze wszystkiémi znajdującémi się w nich polami.

Złodziej przedmiotów na komedyje. Dzienniki paryzkie opisują następujący zabawny proces. Dwóch ludzi, skarzyciel i obżałowany, stanęli przed sądem. Prezydent: Czém się wćpan trudnisz? Obżałowany: Robię komedyje. Skarzyciel: Ten pan raczy żartować. Nie wiem, jaka styczność zachodzi między książką, którą mi ukradł, a robieniem komedyj. Obżałowany: Wielka styczność, mój panie, a jednak nie ma żadnego związku, bo nie sądź wćpan, ażebym myśli kradł z książek; myśli w moich komedyjach są wszystkie moje własne, lecz czasem tytuł biorę. Skarzyciel: Ale wćpan wraz z tytułem wziąłeś i książkę. Obżałowany: Wyborne były w niéj myśli. Skarzyciel: A jeszcze wyborniéjsza oprawa z wyzłacaniami. Obżałowany: Znalazłem tam bardzo piękne sytuacyje dramatyczne. Skarzyciel: I bardzo piękne ryciny. Prezydent: Proszę się przyznać, wziąłeś wćpan książkę, czy nie? Obżałowany: Byłem w czytelni tego pana, wyczytałem w pewnym romansie wyborny przedmiot na komedyją i wziąłem ów romans dla zrobienia podług niego planu. Nazajutrz chciałem go oddać. Skarzyciel: Lecz wćpan zaniosłeś go zaraz do tandéciarza. Obżałowany: Przez omyłkę. — Prezydent sądu nie uważał jednak na tę omyłkę, i skazał autora komedyj na trzy-miesięczną karę więzienia, gdzie będzie miał czas napisać nową komedyją z tego wypadku.

Sprostowanie. W Nr. 49. Rozm. na str. 392, w słupie 2m, wierszu 10m, zamiast *franku,* czytać frakn; na str. 393, w słup. 1m, wier. 6m, zamiast *domniewanie,* czytaj domniemanie; na str. 394, w słup. 1m, wier. 42m, zamiast *pilkę,* czytaj piekę.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.